

W mozołach wojny i rządzenia —
Synowie jego, wierna brać:
Więc Szeremietiew, cny doradca,
Brüss, Bour, Repnin — i ów bezrodny
Fortuny beniaminek godny,
Spółpanujący możnowładca.

JEŹDZIEC MIEDZIANY

OPOWIEŚĆ PETERSBURSKA

PRZEDMOWA

Zdarzenie, opisane w tej powieści, oparte jest na rzeczywistości. Szczegóły powodzi zaczerpnięte są z pism współczesnych. Kto ciekaw, może sięgnąć do relacji sporządzonej przez W. I. Bercha.

WSTĘP

Na brzegu, nad pustkowiem fal
Stał ON — i z wielką patrzył w dal
Zadumą. Przed nim — toń rozległa
Spienionej rzeki. Nędzna łódź
Samotnie z prądem nurtu biegła,
A na wybrzeża grząskim mchu
Czerniły się i tam, i tu
Chaty — ubogi schron Czuchonca,
I w krag posępnie szumił mu
Las, który nie znał blasków słońca,
Skrytego w mgłę.

I dumał on:

„Będziemy grozić stąd Szwedowi,
Tu stanie miasto, stanie tron
Na złość dufnemu sąsiadowi.
Naturą nam sądono stąd
Wyrąbać okno na Europę¹,

¹ Algarotti powiedział gdzieś: „Petersbourg est la fenêtre par laquelle la Russie regarde en Europe.” (Przyp. aut.)

Przy morzu twardo stawić stopę.
Niech tu poznawać nowy ład
Zjeżdżają wszystkie flagi w gości!
Zahulać nam tu na wolności!"

Sto lat minęło. Młody gród,
Północnych krain dziw i chwała,
Z bajorów leśnych, z mroku wód
Jako stolica wzrósł wspaniała.
Gdzie dawniej rybak, Fin ponury,
Na niskim brzegu siadał sam
I smutny pasierb złej natury,
Sieć lichą w toń zarzucał — tam,
Na gwarnych, ożywionych brzegach,
Dziś w świetnych tłoczą się szeregach
Pałace smukłe, domy, baszty,
I tłumnie z wszystkich krańców ziemi
Do portów zawijają maszty.
Nowę granitową odział zwał
I mosty osiadały wody,
Cienista jest na wyspach głąb,
Ciemnozielone są ogrody.
I oto przed stolicą nową
Prastarej Moskwy splendor zgaś,
Jako przed młodą cesarową
Imperatrycy-wdowy blask.

Kocham cię, Grodzie mój Piotrowy¹:
Twych zwartych kształtów kocham ład,
Prąd Newy władny i surowy,
Nadbrzeżny granit, wzory krat

¹ Patrz wiersz ks. Wiazińskiego do hr. Z. (Przyp. aut.)

Na ogrodzeniach metalowych,
Twych zadumanych nocy dym
Przeźroczy, blask beksiężycowy.
Kiedy w pokoju siedzę swym,
Bez lampy nocą czytam, piszę,
Śród jasnej pustki nie drgnie nic
I lśni nad śpiących ulic ciszą
Admirałickiej igły szpic.
I mrokom nocy wstępu broniąc
Na złoty strop nowego dnia,
Jutrznią, na zmianę zorzy goniąc,
Dla nocy pół godziny ma.
Kocham twej zimy ostre wiechy,
Siarczyste mróz, stężały dech,
Pęd sanek wzdłuż szerokiej Newy,
Rumianych z mrozu dziewcząt śmiech
I balów blask, i uczt rozgwarę,
I kawalerskich bibek tłok,
I pienny syk perlistej czary,
I pelgający ogniem grog.
Kocham Marsowych Pół paradę
I dziarskich wojsk bojowy krok,
Piechoty marsz, konnicy skok,
Powabnej jednostajnym ładem.
W szeregów falujących rytmach
Szandarów strzepy, chwały blask,
Gdy miedzią lśni przy kasku kask,
Na wylot przestrzelony w bitwach.
Kocham, stolico wojsk i tronu,
Twych armat w twierdzy dym i grom,
Kiedy władczyń Septentrionu
Obdarza synem carski dom
Lub kiedy tryumf nowy grzmi,

Gdy Ruś zwycięstwa święci gody
Lub rozsądziwszy sine lody
Ku morzom Newa gna swe wody,
Hucząc wiosenne wita dni!

Niech wiecznie trwa majestat twój
I chwała, o Piotrowy Grodzie!
Jak Rosja niewzruszenie stój,
Z żywiołem poskromionym w zgodzie!
Pradawną waśń i walki znój
Niechaj zapomną fińskie fale
I niech nie trwożą w płonnym szale
Wiecznego snu Imperatora...
Okrutna, straszna była pora...
Mam o niej z wspomnień świeżych wieści,
I o niej dla was, przyjaciele,
Snuć znaczne wątek opowieści.
Będzie w tych dziejach smutku wiele.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Nad zasępionym Piotrogradem
Listopad mrocznym dyszał chłodem;
W kształtne krawędzie swe z uporem
Falami pluszcząc, prac ku morzu,
Newa miotła się jak chory
Na niespokojnym swoim łożu.
Już późny, ciemny wieczór był,
Deszcz w okna gniewnie siekł i bił
I wicher z ulewą się użerał.
W tę psią pogodę Eugeniusz
Do domu wrócił. Otóż wtem już,

Jak nazwać swego bohatera.
Imię przyjemne, dźwięcznie brzmi.
I pióro me od wielu dni
Już się z nim jakoś żyło blisko.
Eugeniusz... Na nie nam nazwisko,
Choć za minionych dawno lat
Może i nieraz błysło chwałą
I z Karamzina świetnych kart
W rodzinnych dziejach rozbrzmiewało,
Lecz dziś zapomniał o nim świat.
Mieszka bohater nasz w Kołomnie,
Ma swą posadkę — rad nierad —
Unika możnych, żyje skromnie,
O przeszłość nie dba ani nie wie,
Czym ród nieboszyk słynął drzewiej.

A więc, gdy wrócił do mieszkania,
Zdjął płaszcz, ubranie, usnąć chciał,
Lecz długo w zamyśleniu trwał
I sen płoszyły mu dumania.
O czym tak dumał? O tym, że
Jest biedny; że w życiowej grze
Zdobycwać musi pracą, w nędzy,
Swoją honor, samodzielność swą;
Że i rozum, i pieniądze
Mógł Pan Bóg dodać mu; toć są
Takie szczęśliwe lekkoduchy,
Ot, ptasie mózgi i leniuchy,
Którym jak z płatka wszystko szło;
Że nie tak prędko się dosłuży...
I myślał jeszcze o tej burzy,
Wśluchany w zawieruchę złą;
O tym, że wzbiera rzeka wzdęta,

Że już z niej pewno mosty zdjęto
I że przez dwa-trzy dni nużące
Będzie z Paraszą swą w rozłące.

Tak marzył sobie. I markotno
Było na duszy od tych dum,
I pragnął, by tak gniewnie w okno
Deszcz nie siekł; aby ustał szum
Żaloszny wichru. Tak, samotny,
Usnął. I oto rzedną mgły
I błady dzień wstał z nocy słotnej.
Okropny dzień!

Przez całą noc
Ku morzu przeciw burzy rwąc się,
Stańca, Newa dęba w płasie,
Aż ją przemogła bujna moc.¹
Chmurnym porankiem nad brzegami
Zaczął się cizbą tłoczyć lud,
Patrzac, jak pianą i bryzgami
Strzelają góry z wiru wód.
Lecz od zatoki odgradzony
Wichury siłą, Newy prąd
Prze wstecz, burzliwy i szalony,
Zalewa wyspy, topi ląd.
Od rozjuszonej niepogody
Ryczą specznie, ciemne wody,
Kipiący w kotłowisku kłęb!
I wtem, jak zwierzę, wściekła głąb
Na miasto skacze — i ze sobą

¹ Mickiewicz w przepięknym wierszu opisał dzień poprzedzający petersburską powódź. Szkoda tylko, że opis jego nie jest ścisły. Śniegu nie było — Newa nie była pokryta lodem. Nasz opis jest wierniejszy, choć brak mu żywych barw polskiego poety. (Przyp. aut.)

Porywa wszystko, niesie w dal,
I nagle pustka — zwały fal
W podziemia domów się dostały,
Lunęły wprost do krat kanały
I wzniósł się, jako Tryton z wód,
W toni po pas — Piotrowy Gród.

Szturm! Atak! Jak złodzieje, fale
Oknami wlażą już zuchwale,
Łodzie z rozbiegu tłuką szyby,
Porywa rozbestwiony pęd
Pudła kramarzy, ludzki sprzęt,
Belki i strzechy, i sadyby,
Przezornych sklepikarzy składy,
Nikły dorobek nędzy bladej,
Mosty zniszczone nawałnicą,
Trumny z cmentarzy zmytych deszczem,
Wszystko z potokiem rwie ulicą.
Lud widzi boży gniew złowieszczy.
Biada! Stracone wszystko! Gdzie
Schron znaleźć, strawę?

W one dnie
Car zgasy Rosją rządził jeszcze;
Na balkon z zasepionym czołem
Wyszedł i rzekł: „Nie w carów mocy
Z bożym uporać się żywiołem.”
A potem siadł i klęsce w oczy
Patrzył boleśnie. Ryński stał
Jako jeziora. Żywił ciekł
I korytami wartkich rzek
Ulice w rynki się wlewały,
A carski pałac osowiały
Był smutną wyspą.

Cesarz rzekł
 I na ten rozkaz w jednej chwili
 Na wszystkie strony miasta, wśród
 Odmetu szalejących wód,
 Generałowie wyruszyli¹
 Ratować przerażony lud.
 Wtedy to właśnie na Piotrowym
 Placu, przy rogu, gdzie dom nowy,
 Gdzie na wysokim ganku, wzwyż
 Podniósłszy łapy, jeząc grzywe,
 Dwa lwy sprawują straż jak żywe,
 Bez czapki, drętwo, ręce w krzyż,
 Na marmurowym grzbiecie lwim —
 Okrakiem siedział, strasznie blady,
 Eugeniusz. Strach dygotał w nim,
 Strach nie o siebie. Ani słyszał,
 Jak pod nim żywił cheiwy dyszał,
 Jak się podnoszą fal gromady
 I liże stopy jęzor wód,
 Jak deszcz go prosto w oczy chlał,
 A wicher dziko wył, urastał
 I nagle czapkę z głowy zmiótł!
 Wzrok przerażony, ostupały
 Wbił w jeden punkt. Jak groźne skały
 Z topieli rozchełstanej, grzmiąc
 Wstawały fale w furii żądz!
 Tam burza wyła, wir głęboki
 Niósł jakieś szczątki. Boże! Ach,
 To tam!... bliźniutko, o trzy kroki
 Od rozjątrzonych fal zatoki —
 Płot, wierzba stara, niski dach,

¹ Hrabia Miloradowicz i generał Benkendorf.

Zamurszały domek. Mieszka w nim
 Wdowa i córka. Ach, Parasza!
 Jego Parasza! Czy on śni?
 Czy cała rzeczywistość nasza,
 Wszystko, co mamy w życiu tem,
 Igraszką losu jest i snem?
 I nasz bohater jak zakłęty,
 Jak do marmuru przyrośnięty —
 Nie może zejść. A dookoła
 Woda i nic prócz wody zgola,
 I obrocony tyłem doń,
 Potężny, z wyciągniętą dłonią,
 Nad zbuntowanej Newy tonią
 Wysoko wspięty — stoi ON:
 Bożyszcze na spiżowym koniu.

CZĘŚĆ DRUGA

Lecz syty furii niszczycielskiej,
 Rebelią własną zachwycony,
 Prąd Newy, szaleł swym znużony,
 Wstecz powłókł się ziajanym cielskiem,
 Niedbale porzucając płony
 Zwycięstwa swego. Tak gromada
 Złoczyńców — najpierw do wsi wpada,
 Rozbija, kradnie, grabi, rżnie,
 W zgiełku, rwetesie wrzeszczy, klnie,
 Gwałt, pogoń, alarm — łapać! stój!
 Aż wreszcie łupem obareczony,
 Drżąc przed pościgiem, zły, zmęczony,
 Za zbójcem chyłkiem zmyka zbój,

Rzucając łup na wszystkie strony.
 Opadła woda obnażywszy
 Chodniki — i Eugeniusz mój,
 Coraz trwoźniejszy, niecierpliwszy,
 W rozpacz i nadziei bieży
 Z bijącym sercem do wybrzeży,
 Gdzie ledwo ucichł wrzący bój.
 Ale, tryumfu swego pewne,
 Kipiały jeszcze fale gniewne,
 Jakby pod nimi ogień płonął.
 Wir jeszcze pieniał się, gotował,
 Ciężko sapalo Newy łono,
 Jak koń, co z bitwy przycwałował.
 Eugeniusz rzuciłby się wpław,
 Lecz widzi łódź. Szczęśliwy traf!
 Więc biegnie, woła przewoźnika,
 I oto rybak obojętny,
 Na parę groszy zawsze chętny,
 Przez straszne fale z nim pomyka.
 I długo wiosłarz doświadczony
 Oporne fale musiał pruć,
 Co chwila groził nurt wzburzony,
 Że polknie śmiałków. Wreszeie łódź
 Dobrza brzegu.

Nieszczęśliwy
 Ulicą znaną pędem gna
 Na miejsce, które dobrze zna,
 Lecz nie poznaje. O, straszliwy
 Widoku! Gruzy i zwałiska,
 Ruiny same widzi z bliska,
 Kupy kamieni, szczątki wrót,
 Skrzywione domki, które zmiotł
 Rozpęd powodzi. W rumowisku

Trupy, jak na pobojoisku,
 Bezwładnie leżą. Biegnie w cwał,
 Strach go pogania, więc ucieka,
 Zapomnieć by, nie wiedzieć chciał!
 Na oślep pędzi! Tam go czeka
 Tajemny los z nieznana wieścią,
 Jak z listem zapieczętowanym.
 I oto biegnie ku przedmieściom...
 Zatoka!... Zaraz dom kochany!...
 Co to? Przystanął. Patrzy... Nie...
 Jak to? Odechodzi... Wraca się...
 Znów patrzy... Przecież to ta sama
 Wierzba... Tam kiedyś była brama...
 Była... I dom był... Gdzież on jest?
 Eugeniusz chodzi, chodzi wkoło,
 Z sercem strapiionym, bliski łez...
 Sam z sobą gada... I wtem — w czoło
 Uderzył ręką z dzikim śmiechem.

I oto mroczny nocy cień
 Otula miasto, pełne drzeń,
 Ale mieszkańcy spać nie mogą
 I długo rozprawiają z trwogą
 O dniu minionym.

Błysnął brząsk
 Przez blade i zmęczone chmury
 I nad stolicą cichą blask
 Słonecznej rozlał się purpury.
 Ożyło wszystko. Dzień zwycięski
 Ślady wczorajszej zatarł kłęski
 I obojętne i nieczułe
 Znów tłumy przez ulice snuły,
 Z mieszkaneł lichych znów do biur

Ciągnął czynownej braci sznur.
 Już liczykrupa z rażą miną
 Otwierał swój splukany skład,
 Myśląc, jak pomścić tyle strat
 Na bliźnim. Już ostatnie płyną
 Łodzie sprzed domów. Graf Chwostow,
 Wieszczy i faworyt sfer niebieskich,
 Już piał o klęsce brzegów newskich
 Patosem nieśmiertelnych strofi!
 Lecz mój Eugeniusz nieszcześliwy!
 O, zgrozo! Obłąd, śmierci kum,
 Przyszedł po wstrząsie przeraźliwym
 I trapić zaczął. Wściekły szum
 Newy i wichru w uszach huczał.
 Najokropniejszych myśli tłum
 Roił się w mózgu i dokuczał.
 Włóczył się. Straszne widział sny;
 Tygodnie i miesiące szły...
 Nawet po rzeczy do mieszkania
 Nie wrócił. Więc gdy minął termin,
 Poeta zajął je mizerny;
 A on — z rozpaczny obląkania —
 Jak gdyby w zamroczenie wpadł.
 On światu zdziczał, jemu świat,
 Dni całe spędzał na włóczędze,
 Spał na przystani, cierpiał nędzę,
 Podał kto kęs przez okno — jadł;
 Wisiały na nim strzępy szmat,
 Gałgany stęchłe. Kamieniami
 Ciskała zła dzieciarnia za nim;
 Wózniczy nieraz smagnął bat,
 Bo chodził błędny... Żadnej drogi
 Już nie poznawał. W różne strony

Błąkał się, jakby ogłuszony
 Nieustającym szumem trwogi.
 I tak żałobny żywot włókił,
 Ni zwierz, ni człowiek. Kto? Wie Bóg.
 Ni to, ni owo; ni ktoś z ziemi,
 Ni martwe widmo.
 Kiedyś spał
 Na brzegu, gdy już ku jesieni
 Chyliły się dni lata. Wiał
 Wiatr ciemny, deszcz ponury lał
 I fale, skarząc się okropnie,
 Pluskały, były w gładkie stopnie,
 Jak tylko by skazaniec mógł
 Bić czołem w srogich sędziów próg.
 Obudził się. Deszcz, mrok dokoła,
 Szaruga ciemna, pustka dzika;
 Wiecher na pomoc kogoś woła
 I słychać odzew wartownika.
 Zerwał się biedak. Straszny snem
 Stanęła zgroza przed oczyma.
 Wstał przerażony. Poszedł. Wtem
 Przed wielkim domem się zatrzymał,
 Gdzie na wysokim ganku, wzwwyż
 Podniósłszy łapy, jeżąc grzywę,
 Na straży stoją lwy jak żywe,
 A dalej skała, czarny spiż:
 ON — mocarz z wyciągniętą dłonią,
 Bożyszcze na spiżowym koniu.
 Eugeniusz drgnął. Odkrywcze światło
 Błysnęło. Znów przed sobą miał
 To miejsce, kędy potop grzmiał,
 Gdzie thukł się fal drapieżnych natłok
 Pieniąc i pnąc się wokół niego.

I poznał lwy, i plac, i Tego,
 Co głową wznosił się miedzianą
 I w mroku nieruchomo trwał,
 Fatalną wolą rozkaz dał,
 By tutaj miasto zbudowano...
 Straszliwy jest, wpatrzony w mrok!
 Jaka zaduma! Co za wzrok!
 Jaka potęga w nim ukryta!
 A w dumnym koniu jaki pęd!
 Dokąd ty, koniu, gnasz bez pęt
 I gdzie opuścisz swe kopyta?
 O, władco losów wszechmogący!
 Czyż nie tak samo twoja dłoń,
 Wzniesiona nad otleńską pustą,
 Szarpnęła Rosję twardą uzdą,
 Że dęba wspięła się jak koń?¹
 Biedny szaleniec obszedł wokół
 Pomnika ogrodzony cokoł,
 Czoło do chłodnych przywarł krat
 I wbił zuchwale wzrok sztyderezy
 W oblicze groźne światodzierzcy,
 I ciężar mu na piersi padł.
 Mgłą zaszyły oczy. Strach go zmurowił.
 Zawrzała ogniem w sercu krew
 I oto wzbiera głuchy gniew
 Przeciw dumnemu kolosowi.
 Ścisnąwszy pięści, tłumiąc łzy,
 Jak czarną mocą opętany,
 „Cóż, budowniku mój miedziany?
 Cóż, cudotwórcu? — syknął zły. —

¹ Patrz opis pomnika u Mickiewicza. Jest on zaczerpnięty z Rubina, jak to podaje sam Mickiewicz. (Przyp. aut.)

Już ja cię...” I jak oszalały
 Przed siebie pobiegł lotem strzały,
 I zdało się, że Groźny Car
 Zapłonał gniewem, wzrok weń wparł,
 I oczy, miotające żar,
 Wolniutko za nim spoglądały.
 Eugeniusz biegnie — dudni bruk,
 Słyszysz za sobą ciężki stuk
 Jak grzechot gromu groźnie grzmiący:
 Galopem dźwięcznym cwałujący
 Stalowy tętent końskich nóg.
 I w bladym blasku ukapany,
 Wysoko wyciągając dłoni,
 ON, Jeździec goni go Miedziany,
 I dźwięcznie w bruk łomocę koń.
 I wszędzie, dokąd, obłąkany,
 Uciekał, gnany zmorą trwóg,
 Tam Jeździec ścigał go Miedziany
 I ciężko dudnił kopyt stuk.

I odtąd, gdy przypadek zdarzył,
 Że przez ten plac Eugeniusz szedł,
 Przestrach malował się na twarzy,
 Zmieszanie... I do serca wnet
 Przyciskać musiał drżącą rękę
 Ukoić pragnąc jego mękę;
 Zdejmnął kaszkiet — i szedł stroną,
 Z twarzą jak gdyby zawstydzoną,
 Bojąc się oczy w górę wnieść.

ZAKOŃCZENIE

Na morzu widać piach ostrowu.
 Czasem, wracając późno z łowu,
 Rybak przyciągnie tam swą sieć
 Lub warzy biedną swą wierzęgę
 Albo urzędnik się wybierze
 W niedzielę łódką. Ani żdźbła
 Nie ma na wyspie; pustka, mgła.
 I tylko powódź, ot, przypadkiem,
 Zaniosła tam pokraczną chatkę;
 Nad wodą, niby czarny kruk,
 Sterczała długo. Zeszłej wiosny
 Spławiono domek ów żaloszny;
 Dzisiaj już po nim śladu brak.
 Był pusty, cały się rozwalił,
 A w progu mój szaleniec leżał.
 Więc tuż, nie skapiąc mu pacierza,
 Dobrzy go ludzie pochowali.

BAJKA O POPIE I JEGO PAROBKU JOŁOPIE

Był raz pop
 Głupi jak czop.
 Chodził pop po jarmarku,
 Kupiłby jakiego towarku.
 Rozgląda się wokoło,
 Patrzy — idzie Jołop,
 Idzie przed siebie,
 A dokąd — sam nie wie.
 „Wczesny ptak z dobrodzieja. Czego szukasz?”
 Pop mówi: „Potrzebny mi parobek: kucharz
 I żeby jednocześnie
 Był za koniucha i cieśle,
 A gdzie znaleźć takiego
 Robotnika niezbyt drogiego?”
 Mówi Jołop: „Będę ja ci służył pilnie,
 Gorliwie i bardzo usilnie,
 Rocznie za trzy prztyczki w twój czub,
 A jeść będę sam warzony bób.”
 Zaczął pop medytować,
 W głowę się skrobać,
 Bo to trzeba odróżniać prztyk pod prztyka...
 Ale co tam! Ryzyka-fizyka.
 Mówi pop do Jołopa: „Zgoda.
 Obydwu nam będzie wygodnie.
 Pomieszkaj ty w moim obejściu trochę,
 Pokaż swoją ochotę i robotę.”
 Mieszka Jołop u popa, wiedzie mu się przednio,